

**MIGUEL  
ÁNGEL  
ASTURIAS**

**PAN  
PREZYDENT**

**Przełożył i napisał postłowie  
Kacper Szpyrka**



Część pierwsza  
21, 22 i 23 kwietnia

## 1. Portyk Pana

Płońże, łuno ałunowa, płoń, z ałunu Lucyferze! Jakże hałas dudni w uszach, wciąż na modły dzwonią dzwony, żałobimbambliwie biją, z mroku w światło, w mrok ze światła. Płońże łuno ałunowa, płoń, z ałunu Lucyferze, bim-bam, nad zgniłym całunem! Płońże łuno ałunowa, bim-bam, nad zgniłym całunem, płoń, z ałunu Lucyferze! Bim-bam! Płońże, płoń, ałunie! Płońże, łuno ałunowa... Płońże, płoń, ałunie! Bim-bam! Płońże, łuno ałunowa! Płońże, płoń, ałunie! Bim-bam! Płońże, łuno ałunowa!

Od straganu do straganu nędzarze pełzali za jadem, pałętali się w cieniu lodowatej katedry, po ulicach szerokich jak morze – zmierzali w kierunku Placu Broni, zostawiając za sobą miasto, samotne i opustoszałe.

Gromadzili się nocą jak gwiazdy. Za nocleg służył im Portyk Pana. Nie łączyło ich nic prócz nędzy. Każdy każdemu złorzeczył z odrazą, każdy każdego wyzywał, zgrzytając zębami jak wróg, co jawnie dąży do zwady. Tręcali się wzajem, obrzucali błotem i czym popadnie, ci się tarzają, ten ich opluwa, a ów go gryzie z okrutną zawiścią. Ani poduszki, ani ufności nikt spośród tej familii z wysypiska nigdy nie uświadczył. Kładli się osobno, każdy we wszystkim, co miał na sobie, i spali jak łotry, pod głową trzyma-

jąc worek z dobytkiem: odpadki z ubojni, przetarte buty, ogarki, garść zimnego już ryżu owinięta w starą gazetę, kilka pomarańczy i zgniłe banany.

Można ich było zobaczyć na schodach Portyku, jak obróceniu do ściany przeliczali drobne, gryźli nikłowe monety, powątpiewając w ich autentyczność, mówili sami do siebie, przeżuwali w tajemnicy okruchy suchego chleba, sprawdzali stan aprowizacji i rynsztunku, gdyż ulice przemierzali zbrojni w kamienie i proce ze szkaplerzy. Nikt nigdy nie widział, żeby jeden drugiemu w coś pomógł. Jak wszyscy żebracy, skąpili sobie nawet odpadków, które mienili swoją własnością i które prędzej rzuciliby psu, niż oddali towarzyszowi niedoli.

A kiedy już dojechali, co mieli, a pieniądze siedmiokroć zasupłane w chustę wcisnęli za pas, padali na ziemię i zapadali w niespokojny, smutny sen, pełen koszmarnych wizji, w których widzieli korowód wygłodzonych świń, wychudzonych kobiet, bezpańskich psów, kół szprychowych i żałobną procesję widmowych zakonników wkraczających do katedry, a na samym przodzie – osamotniony księżyc ukrzyżowany na oblodzonych piszczelach. Czasami z najgłębszego snu wyrwał ich wrzask idioty, który budził się zagubiony na Placu Broni; czasami płacz niewidomej, która śniła, że pokryta muchami kołysze się na haku niczym tusza w rzeźni; czasami kroki patrolu, który wlekl zmaltretowanego więźnia politycznego, za nim podążały kobiety zmywające krwawe ślady chustami mokrymi od łez; czasami pochrapywanie parchatego dziada albo ciężki oddech brzemiennej głuchoniemej, płaczącej z przerażenia, bo nagle wyczuła dziecko w swoim ciele. Ale wrzask idioty był

najsmutniejszy. Przeszywał niebo na wylot. Był to wrzask długi, przeciągły, nieludzki.

W niedzielę do tej dziwacznej społeczności dołączył jakiś pijak, który często, nawet przez sen, wołał matkę, zalewając się łzami jak dziecko. Idiota usłyszał wypowiedziane pijackim głosem słowo „matka”, co brzmiało jak lament zespolony z przekleństwem, podniósł się i przemierzył Portyk, zaglądając w każdy kąt. Kiedy ocknął się na dobre, a jego krzyki obudziły wszystkich wokół, rozplakał się z przerażenia, dołączając do pijackiego szlochu.

Nagle psy zaczęły szczekać, zrobił się gwar, a najbardziej poirytowani nędzarze podnieśli się z ziemi, by wszystkich uciszyć, ale rozpętali jeszcze większą awanturę. Albo się uciszą, albo przyjdzie policja. Chociaż policja nie zbliżyła się do nich nawet dla zabawy. Przecież nikt tam nie miał z czego zapłacić mandatu. „Niech żyje Francja!”, wrzasnął Pustołap wśród okrzyków i podskoków idioty, który skończył jako pośmiewisko nędzarzy dlatego, że ów jednonogi próżniak, ów frankofil o niewyparzonej gębie, często nocami dla żartu udawał pijanego. Pustołap naśladował pijaka, a Łamaga – bo tak nazywano idiotę, który podczas snu wyglądał jak trup – ożywiał się z każdym krzykiem, nie zważając na opatulone skrawkami szmat ludzkie tobołki leżące na ziemi, które na widok owego szaleńca beształy się obelżywie wśród skrzekliwego rehotu. Łamaga, ślepy na potworne facjaty współtowarzyszy, niczego nie widział, nic nie słyszał i niczego nie odczuwał, aż wreszcie zasypiał z załzawioną twarzą. Noc w noc jednak powtarzało się to samo; skoro tylko zasnął, ze snu budził go głos Pustołapa:

– Matka!

Łamaga natychmiast otwierał oczy, jak ktoś, kto we śnie spada w otchłań, jego źrenice rozszerzały się coraz bardziej, zwijał się w kłębek, a do jego oczu napływały łzy, jakby był ciężko ranny. Potem, znów zmorzony snem, powoli zasypiał, jego ciało stawało się bezwładne, a echa wstrętu przelatywały przez pęknięty umysł. Skoro tylko przymykał oczy, kolejne usta spod łachmanów przerywały ledwie rozpoczęty sen:

– Mat...

Był to głos Wdowy, zwyrodniałego Mulata, który – między jednym rechotem a drugim – z grymasem dewotki kontynuował:

– ...ko miłosierdzia, nadziejo nasza, witaj, do ciebie wołamy wygnańcy, szczynowie mewy\*...

Idiota obudził się ze śmiechem, zdawało się, że podobnie jak reszta drwił z własnego bólu, rozpaczy i głodu, a łzy skapywały mu z zębów, tymczasem niebo przecinał ha-ha-ha-ha-łaśliwy śmiech nędzarzy. Niebo! Niebo! Ha-ha-ha-ha-łaśliwy! Jakiś tłuszcioch z wąsami uświnionymi od tarzania się po ziemi chichotał tak, że nie mógł złapać tchu, a jednooki żebrak, co zsiakał się ze śmiechu, bódł głową o ścianę jak kozioł. Wtem ociemniali zaczęli protestować, bo w takiej wrzawie nie dało się spać, a Moskit, beznogi ślepiec, wrzeszczał, że tylko sodomici śmieją się z podobnych rzeczy.

Wszyscy jednak traktowali ślepców jak powietrze, skargi Moskita nie docierały do niczyich uszu. Bo

---

\* Wdowa szyderczo przeinacza fragment antyfony *Salve Regina* (przypisy tłumacza).

i czemuż mieliby się przejąć jego biadoleniem? „To ci dopiero było, jakem za młodu bawił w kamaszach, gdzie kopniaki mułów i baty dowódców zrobiły ze mnie mężczyznę! Silnym był jak byk! Oj, przydało mi się, kiedym za młodu po ulicach tachał katarynkę! Ani żem się spostrzegł, jakem po pijaku wzrok stracił i jakem też po pijaku stracił pierwszą nogę, wiem, że drugą też po pijaku, i to pod kołami automobilu, ale gdzie, to już nie wiem”.

Wkrótce wszyscy w mieście dowiedzieli się od nędzarzy, że Łamaga wpada w szal, ilekroć ktoś wspomina przy nim o matce. Nieszczęśnik biegał przez ulice, place, dziedzińce i rynki, to tu, to tam, by umknąć przed zbiegowiskiem, które całymi godzinami krzyczało za nim, niby jakąś klątwę, „matka”. Szukając azylu, wchodził do różnych domów, gdzie witało go ujadanie psów albo kopniaki służby. Wyrzucano go zewsząd, z kościołów, sklepów, nie bacząc na jego zwierzęce znużenie ani na jego wzrok, z którego poza nieświadomością można było wyczytać błaganie o litość.

To ogromne miasto, wyolbrzymione przez zmęczenie Łamagi, zaczynało karleć w obliczu jego rozpaczki. Po nocach zgrozy przychodziły dni prześladowań, ludzie nękali go, wołali za nim: „Łamagusi! Ty gamoni! Ty świntuchu! W niedzielę ochajtasz się ze swoją grubaśną starą!”, i bili go, rozrywając jego ubrania na strzępy. Ścigany przez dzieci, szukał schronienia w dzielnicach biedoty, choć tam jego los był jeszcze gorszy, tam, gdzie wszyscy przeszli przez wrota niedoli, nie tylko go wyzywano, ale i obrzucano kamieniami, zdechłymi szczurami i pustymi puszkami, a on biegł z grozą wymalowaną na twarzy.

W dzień taki jak dziś, kiedy dzwonili na Anioł Pański, przypałał się z jednej z tych dzielnic do Portyku Pana, bez kapelusza, z raną na głowie, ciągnąc za sobą ogon latawca, który mu ktoś dla żartu przypawił do spodni. Bał się cieni na ścianach, biegających psów, liści na wietrze i wozów z rozchobotanymi kołami. Już zmierzchało, kiedy dotarł do Portyku, gdzie nędzarze odwróceny do ściany raz po raz przeliczali drobniaki. Pustołap toczył spór z Moskitem, głuchoniema obmacywała niewytłumaczalnie nabrzmiały brzuch, a niewidoma śniła, że kołysze się na haku, pokryta muchami niczym tusza w rzeźni.

Łamaga padł półmartwy na ziemię, minęło wiele nocy, odkąd zmrużył powieki, i wiele dni, odkąd dał odpocząć nogom. Nędzarze nie mogli spać, w milczeniu drapali ukąszenia pcheł i czujnie nasłuchiwali policjantów, którzy chodzili tam i z powrotem po słabo oświetlonym placu, a także wartowników szczekających bronią, w stanie gotowości bojowej, którzy tkwili przy oknach sąsiednich baraków jak zjawy owinięte w prążkowane poncza, noc w noc strzegąc Prezydenta Republiki – jego miejsce zamieszkania było nieznane (posiadał wiele majątków na obrzeżach miasta), nikt też nie wiedział, jak śpi (krążyły pogłoski, że przy telefonie i z batem w rękę) ani o jakiej porze (jego przyjaciele powiadali, że w ogóle nie śpi).

Na Portyk Pana wkroczył ktoś ważny. Nędzarze skulili się niczym zbite psy. Noc była cicha, ciemna i bezdenna, a odgłosom wojskowych butów wtórowało jedynie złowróżbne hukanie ptaszyska.

Pustołap spojrział w kierunku sowy – w powietrzu wisiała groźba końca świata – i powiedział:



– Hu-huu!\* Weźże sól i ciut papryczki! Niech los ci sprzyja, a zło ominie, choć tak czy siak czyrak cię pokryje!

Moskit nerwowo dotykał twarzy. W powietrzu wyczuwało się coś złowrogiego, jakby ziemia miała zatrzęść się w posadach. Wdowa wcisnął się między ślepych i wykonał znak krzyża. Tylko Łamaga po raz pierwszy od dawna spał jak zabity, pochrapując...

Ważny jegomość przystanął, na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Podszedł na palcach do idioty i krzyknął dla żartu:

– Matka!

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Zbudzony krzykiem Łamaga zerwał się na równe nogi, skoczył na obcego, nie pozwalając, by ten sięgnął po broń, wraził palce w jego oczy, odgryzł kawałek nosa i kopał kolanami w krocze, aż ów zastygł w bezruchu.

Przerażeni nędzarze zamknęli oczy, sowa przeleciała raz jeszcze, a Łamaga pognał w ciemne ulice targany paroksyzmami przerażenia.

Ślepa siła zakończyła żywot pułkownika José Parralesa Sonrientego, zwanego Człowiekiem na Mule\*\*.

Na horyzoncie dniało.

---

\* W oryg. *Hualí, hualí!* – Asturias zaczerpnął ten zwrot z *Popol Vuh*, świętej księgi Indian Kicze. Okrzyk, mający wyrażać wesołość podszytą lękiem, można skojarzyć z hukaniem sowy.

\*\* W oryg. *hombre de la mulita* (dosł. Człowiek z małym mułem) – pseudonim historycznej postaci. Nosił go Wenceslao Chacón, znany z okrucieństwa generalny inspektor policji, ulubieniec dyktatora Cabrery. Podobno przemierzał na mule ulice Gwatemali z batem w ręku, smagając nim uciekających mu z drogi ludzi, a czasem poprzedał orszak wodza i wskazywał swoim siepaczom nieszczęśników, którzy nie zdążyli ściągnąć kapelusza z głowy.

## 2. Śmierć Moskita

Od strony ulicy, którą szło dwoje lub więcej ludzi, słońce półzłociło taras Drugiego Komisariatu Policji, protestancką kaplicę, która miała dwoje lub więcej uchylonych drzwi, oraz nieukończony ceglany budynek należący do masonerii. Na dziedzińcu komisariatu – gdzie niemal zawsze padał deszcz – w oczekiwaniu na widzenie, na kamiennych siedziskach i w zacienionych krużgankach, przesiadywały bose kobiety z prowiantem w koszykach ułożonych między nogami na hamakach spódnic, było też pełno dzieci, mniejsze wisały przyssane do matczynej piersi, starsze niebezpiecznie zbliżały ziewające z głodu usta do bochenków w koszykach. Wśród lamentu można było usłyszeć, jak kobiety głośno opowiadają o swoich smutkach, a oczy pełne łez ocierają krańcem chusty. Jakaś starowina o malarycznym spojrzeniu łkała w ciszy, dając niejako do zrozumienia, że jej matczyna rozpacz ma w sobie więcej bóleści. Na zło nie ma rady, ani na tym świecie, ani w tej przeklętej poczekalni, gdzie stały dwa lub trzy karłowate, zaniedbane drzewa, nieczynna fontanna, a bladolicy policjanci czyścili śliną swoje celuloidowe kołnierze. Nieszczęśnicom pozostała jedynie nadzieja, że wszystko jest w rękach Boga.

Policjant o mieszanym pochodzeniu minął je, wlokąc za sobą Moskita. Złapał go za ramię tuż za rogiem Kolegium św. Józefa i ciągnął, miotając nim na boki, przez co pojmany wyglądał jak gibbon. Kobiety jednak w ogóle nie zwracały uwagi na tę błazenadę, zajęte obserwowaniem dozorców, żeby we właściwym momencie przekazać im posiłki do przemycenia i otrzymać wiadomości od więźniów: „Kazał ci powiedzieeeeć... żeby się o niego nie martwić i że wszystko już jest lepiej! Kazał ci powiedzieeeeć... żeby kupić mu maść na wszy za jakie cztery reale, jak tylko otworzą aptekę! Kazał ci powiedzieeeeć... żeby za grosz nie wierzyć w to, co rozpowiada jego kuzyn! Kazał powiedzieeeeć... żeby znaleźć mu jakiegoś obrońcę, najlepiej studenciaka, bo taki to nie oskubie człowieka, jak te wszystkie adwokaty! Kazał powiedzieeeeć... żeby taka nie była, że nie ma być o co zazdrosna, bo tu przecież nie ma żadnych kobiet, ale że któregoś dnia zamknęli jednego z tych takich, no... i teraz ma tu chłopaka! Kazał powiedzieeeeć... żeby mu wysłać środek na przeczyszczenie za dwa reale, bo się nie może wysrać! Kazał powiedzieeeeć... żebyś sobie sprzedała tę szafę, bo to już nie ma żadnego znaczenia!”.

– Ejże, człowieku – krzyczał Moskit do funkcjonariusza, protestując przeciw tak podłemu traktowaniu – co ja jestem? Tobołek? Że nie mam grosza przy duszy, to od razu można mną pomiatać? Ta, pieniędzy nie mam, ale mam swój honor! I nie jestem twoim synalkiem albo jaką kukłą, albo jakim młokosem, żeby mną tak rzucać! Słyszysz?! Żeby dobrze wypaść przed gringos, wzięli nas, bidoków, i wywlekli z naszego zaułka! Szlag by to! Znaleźli

se popychadła! Chłopców do bicia! A żeby nas choć traktowali jak człeka! Do ciebie, szefie, nic nie mam, ale jak kiedyś przyjechał jankeski Pan Wściubinos\*, trzy dni nas trzymali bez zarcia, stalimy tak na palcach, owinięci w koce jak obłąkani i próbowali dosięgnąć okienka.

Złapanych nędzarzy prowadzono do jednej z Trzech Marii – tak nazywano ciemne i straszliwe ciasne cele więzienne. Wleczony Moskit szamotał się jak ryba. Z początku jego głos ginął wśród brzęku kluczy przy otwieraniu kolejnych drzwi i przekleństw rzucanych przez strażników, których ubrania cuchnęły stęchlizną i papierosami, potem coraz bardziej roznosił się w podziemnych korytarzach o sklepionym suficie:

– O mój Boże, gnębią mnie gliniarze! Najświętsza Panienko, będzie ze mną cienko! O Krezusie Chrystusie, zmiłuj się!

Współwięźniowie łkali jak chore, udręczone mrokiem zwierzęta, przeczuwając, że ich oczy już nigdy nie wyzwolą się z ciemności. Byli przerażeni, znajdowali się w miejscu, w którym rzesze ludzi cierpiały z głodu i wypatrywały śmierci; rodziła się w nich myśl, że zostaną przerobieni na czarne mydło\*\*, jak jakieś zapchlone kundle, albo że ktoś poderżnie im gardła, by policjanci mieli co jeść. Gdzieś w ciemnicy

---

\* W oryg. *shute metete de Mister Nos*, czyli „wściubski Pan Nos” – zniekształcony fonetyczny zapis nazwiska Philandra C. Knoxa. W 1912 roku jako sekretarz stanu USA odbył podróż dyplomatyczną do Gwatemali, z której prezydent Cabrera uczynił propagandowe przedstawienie.

\*\* Czarne mydło (*Jabón de coche*) – domowej roboty mydło wyrabiane z popiołu i tłuszczu świńskiego, zwane też „czarnym mydłem Majów”.